

Proust na Centralnym

Wiem, że ta książka nudzi wszystkich wokół mnie, jej obecność w moich bagażach budzi uśmiech politowania dla mojego „snobizmu”, ale jest mi potrzebna

MICHAŁ MUTOR



Krystyna Janda

Gdyby ktoś mnie zapytał, co lubię najbardziej robić, co mi sprawia największą przyjemność, na pierwszym miejscu byłoby czytanie książek. Co więcej, byłaby to jedna z pierwszych odpowiedzi na pytanie: „Bez czego nie wyobraża pani sobie życia?”. I nie mam tu zamiaru wyjaśniać, dlaczego, chcę tylko poczynić dość intymne zwierzenie: czytanie jest dla mnie lekarstwem. Antidotum na przypadłość, którą odczuwam jako śmiertelną. Na... nerwy. Mój niepokój, lęk, wątpliwości, ból istnienia, bylejakość, pośpiech, paractwo, chamstwo – zabijam czytaniem. A lekiem wyjątkowo skutecznym i zaczarowanym jest „W poszukiwaniu straconego czasu” Marcela Prousta.

Najpierw, mając piętnaście, szesnaście lat, czytałam „W stronę Swanna”. Ten tom był dla mnie źródłem wszystkiego: wiedzy o naturze ludzkiej, nauce obyczajów; zaspokajał potrzebę poznania i porównania swoich uczuć z uczuciami innych. Wszystkie następne tomy, do których dorostałam dużo, dużo później, stały się moją krainą intymną.

Subtelność obserwacji, sposób myślenia o człowieku tak zachwycały, że wchodziłam do tych książek jak do kryształowego, kruchego kościoła. A młodzieńcza egzaltacja jeszcze potęgowała miłość do tego świata, który stworzył Proust. Świata, w którym prawie żadna z postaci nie miała problemów związanych z walką o byt, nie była zależna od pospolitych trosk, świata, w którym sztuka i życie – jak pisał Boy – były elementami dominującymi.

Takiego świata dookoła mnie nie było, nie było nawet jego przeczucia. Szczególnie w czasach, kiedy rozgościłam się w tej książce na dobre. Każde zdanie, przeczytane po powrocie z brudnej socjalistycznej ulicy, zatykało wolnością, relatywizmem, tolerancją i szacunkiem dla tego cudu, jakim jest indywidualność człowieka.

Przez wszystkie następne lata nie zostawałam się z tą książką. Kotłowała mnie podczas pierwszych nocy samotności młodej mężatki, uspokajała po pierwszych premierach i sukcesach. Kołała po porażkach.

Zdarzało się, że z jakichś własnych powodów gorączkowo szukałam opisu myśli zazdrosnej o nieobecność Albertyny, opisów lęków Swanna o Odette. Przypominałam sobie, kartkując, jakąś suknię pani de Guermantes czy dodatki do niej, opisane z nieprawdopodobną precyzją, bo wydawało mi się, że takie powinna mieć kostium w jakiejś roli.



W szpitalach, gdzie rodziłam dzieci, zawsze któryś z tomów miałam przy sobie, na uspokojenie, a potem nigdy nie zapominałam całować moich dzieci na dobranoc, pomna opisu piekła, jakie przeżywał narrator, kiedy nie zjawiała się jego matka, aby przytulić go przed snem.

Dzisiaj czytam te książki, żeby odnaleźć czas. Mój czas. Kiedy pośpiech, kłopoty, rozedrganie osiągną niebezpieczne rozmiary, kiedy nie zauważam dnia i chwili, a ludzie dookoła wyrodnieją, biegnę do tej książki jak do łóżka, zagranego w dzieciństwie przez babcię specjalnie dla mnie. Wystarczy chwila i znów staję się człowiekiem.

Zdarza się, że narzucam sobie tę lekturę siłą, a konieczność skupienia się na niekończących się zdaniach, kilometrach opisów zdarzeń, rzeczy, szczegółów uświadamia mi ciągle na nowo, że codzienność może być sztuką; że umiejętność zauważania drgnienia oka, czyjegoś westchnienia jest wartością nadrzędną. A szacunek i uwielbienie dla drugiego istnienia jest skarbem.

Wiem, że książka ta nudzi prawie wszystkich dookoła mnie. Że jej obecność w moich bagażach budzi uśmiech politowania dla mojego „snobizmu”, ale ona jest mi potrzebna – już wszystko jedno, który z tomów. Otwieram Prousta w przypadkowym miejscu i zaczynam czytać, bez emocji, bez euforii, bez egzaltacji, po to tylko, żeby uspokoić serce i tętno, nadać myślom inny rytm.

Po moim domu poniewierają się zdekompletowane wydania, „Uwięziona”, „Sodoma i Gomora”, „Nie ma Albertyny”, „W cieniu zakwitających dziewcząt”. Gubię je ciągle i znów kupuję nowy komplet. Za każdym razem wtedy, kiedy brakuje „W stronę Swanna”, którą lubię najbardziej.

Kilka tygodni temu na warszawskim Dworcu Centralnym, przed odjazdem pociągu, znów poprosiłam:

– Proszę mi dać „W poszukiwaniu straconego czasu”. Tylko proszę o pośpiech, bo mój pociąg odjeżdża.

Jakiś pan się uśmiechnął. Panienska sprzedająca odparła:

- Ale nie ma takiej książki!
- Wykrzyknęłam:
- Stoi przed panią, na półce!
- Siedem tomów! Chce pani wszystkie? – zapytała z oczami jak filiżanki.
- Tak, tylko szybko!

Kiedy odbiegałam, ten pan, dalej uśmiechnięty, krzyknął:

– Pociągiem tego czasu pani nie dogoni! Chyba że jedzie pani dookoła świata?

– Nie, tylko do Combray! – odrzeknęłam.

– Jadę z panią!

– Tam się jedzie w pojedynkę!

Pomachałam mu na do widzenia.

– Miałaś rwanie? – zapytały mnie, śmiejąc się, koledzy z teatru, do których dobiegłam.

– Nie, to Proust miał branie – odparłam.